



Słowo wstępne

Gdy otrzymałem ten tekst przestraszyła mnie nieco jego długość. Bardziej z obowiązku niż ciekawości zacząłem go czytać i oniemiałem. Nie można było przerwać. Przeczytałem raz i drugi i ... trzeci. Pięknie i wzruszająco Stryj Sławek opisał losy Dziadka i naszej najbliższej Rodziny, nie tylko słowem ale przede wszystkim sercem. Przejmująco przedstawił losy Polaka z XX wieku, wiernego swoim i oby naszym ideałom. Pokazał także, jak można kochać bez fanfar i wielkich słów. Życzyłbym każdemu z nas doświadczenia takiej opieki i miłości jakimi obdarzył On swojego Ojca. Dziadek odszedł jako szczęśliwy człowiek głównie dzięki Tobie Stryjku.. Pamięć o nim zostanie w naszych sercach i potomnych. Tego jestem pewien. Dziękujemy Ci za to.

Wojtek (bratanek)

Stary Dziadek¹

(Życie jest opowieścią)

Stary Dziadek, to po prostu mój Ojciec. A właściwie to nie mój, ale nasz, to znaczy mój i mojego brata Włodka z Ostródy. „Włodek z Ostródy” to tak fajnie brzmi, tak prawie jak „Maćko z Bogdańca”, albo „Jurand ze Spychowa”. Tylko, że Maćko miał swój Bogdaniec, a Jurand Spychów, a Włodek nie miał Ostródy, a praktycznie to nie miał nic. Mimo to on jest „Włodkiem z Ostródy”, bo spędził tu całe swoje czynne życie zawodowe i rodzinne. Tu mieszkał i orbitując wokół Ostródy zarządzał różnymi majątkami PGR-owskimi, Tu zaraz po ślubie ze swoją jedyną miłością Marychną zamieszkał na stałe, tu się urodzili ich chłopcy, tu skończyli szkoły średnie i stąd wylecieli w świat. Tu przeżywał swoje radości i smutki, tu z zapałem uprawiał ziemię, którą tak jak jego Ojciec kochał jak własną, i której oddał swój największy skarb Marychnę. Tu też przewidział miejsce dla siebie, więc on jest i będzie „Włodkiem z Ostródy”.

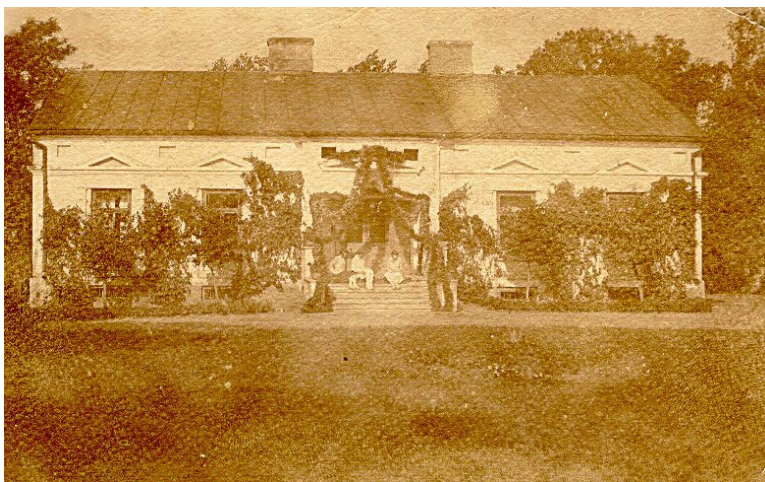
Muszę jednak wyjaśnić, dlaczego tak dużo o Włodku z Ostródy, jak to ma być o Starym Dziadku. Ale to jest jasne, przecież Włodek to synek swojego Tatusia, on przejął od Tatusia geny umiłowania ziemi, uczciwości, pracowitości, sumiennosci, no i bądźmy sprawiedliwi wspaniałego charakteru pisma. On też, jak jego ojciec, nie żył pełnią życia, ale zawsze w zgodzie z własnym sumieniem i ze sobą samym. Chociaż on ma o „Starym Dziadku” najwięcej do powiedzenia, to jednak nie on pisze to opowiadanie tylko ja, ale ja przecież czuję podobnie jak on i wiem co on ma do powiedzenia. Dlatego w tym opowiadaniu o „Starym Dziadku” będę używał formy my tam gdzie jestem pewny, że jestem wyrazicielem jego myśli, odczuć czy poglądów. Tylko wtedy, gdy będę wyrażał absolutnie swoją myśl czy odczucia, to będę używał formy „ja”. Po tych wstępnych wyjaśnieniach przystępuję do mojego opowiadania o „Starym Dziadku”.

Nasz Tata został nazwany „Starym Dziadkiem” przez moich wnuków po to, żeby odróżnić go od dziadków bezpośrednich, którzy też otrzymali swoje ksywy. Dziadkowie po mieczu byli nazywani „Dziadkami Warszawskimi” a my, dziadkowie po kądzieli byliśmy nazywani „Dziadkami Kosmicznymi”. Nie dlatego, że tamci byli prawdziwymi warszawiakami a my kosmitami, ale z tego powodu, że jedni mieszkali przy ul. Warszawskiej a drudzy przy ul. Kosmicznej. Nasza kochana ciotka Marianna, siostra „Starego Dziadka” była bardzo niezadowolona z ksywy, jaką moi wnukowie obdarowali jej brata. Chciała, żeby to był „Dziadziuś Staruszek”, albo „Dziadziuś Pra”, ale nic z tego - nasz Tata został u moich wnuków „Starym Dziadkiem” i kwita, tylko u wnuków Włodka, zgodnie z ciotczyną intencją, był nazywany Dziadkiem Staruszkim, a Babcia Ostródzka Babcją Staruszką. Zresztą nie przypuszczam, żeby w odpowiednim zdrobieniu był większy, lub mniejszy ładunek emocjonalny. Ja, na przykład, nigdy nie byłem tatusiem, tylko zawsze tatą (może tylko na takie miano zasłużyłem) i bardzo długo tylko dziadkiem. Dopiero u piątego z kolei wnuka zasłużyłem sobie na miano dziadziusia, choć z wszystkimi pozostałymi wnukami wcale nie miałem i nie mam gorszych relacji. Ale nie powiem, ten „dziadziuś” mile łechce moją próżność.

¹ Tadeusz Bogusławski urodził się w Wilkowicach w 1899 r, zmarł w Częstochowie w 1992 r

Stary Dziadek żył długo, nawet bardzo długo, ale nie można powiedzieć, że szczęśliwie. Urodził się w ostatnim roku XIX wieku i umarł pod koniec XX wieku. Przeżył obydwie wojny światowe, wywłaszczenie ze wszystkiego co miał, przeżył PRL z jaruzelką i wybuchem „Solidarności”, wybór Karola Wojtyły na Papieża i powstanie III Rzeczypospolitej. Przeżył rozwój mediów elektronicznych od kryształka do cyfry, Internetu i telefonu komórkowego III generacji, oraz rozwój transportu od konia pociągowego i wierzchowego do luksusowych samochodów osiągających prędkość 250 km./godz. i więcej, oraz lotnictwa od balonów i zeppelinów do ponaddźwiękowych samolotów odrzutowych. Doczekał się ślubów wszystkich wnuków i wnuczek (czego nie doczekała nasza Mama) oraz dziewięciu prawnuków (trzech ostatnich przyszło na świat już po jego śmierci). Było to więc życie długie i ciekawe niewątpliwie, ale chyba bardzo dalekie od takiego, które można było by nazwać szczęśliwym. My też żyjemy już dość długo i mimo woli porównujemy nasze przeżycia z życiem naszych Rodziców. Niektóre fragmenty są bardzo podobne, ale niewątpliwie ich warunki życia stawiały im znacznie wyższe wymagania. Stary Dziadek w swoich wspomnieniach pisanych drżącą ręką krótko przed śmiercią, wspomnieniach sprowadzających się wyłącznie do przeżyć pierwszej wojny światowej pisze tak: „Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa miałem 15 lat. Bombardowanie Kalisza spowodowało przybycie do Wilkowic trzech braci ciotecznych w wieku 16, 18, i 20 lat”. Ale jak II wojna wybuchła to my też byliśmy w tych samych Wilkowicach i mieliśmy 9 i 10 lat i też w Wilkowicach byli nasi bracia stryjeczno-cioteczni: Staś ze swoją mamą (ciocią Janeczką) i Piotruś Kwiatkowski, który wracając z obozu harcerskiego w Rumunii obowiązkowo musiał trafić do Wilkowic oraz Jurek Zakrzewski ze swoją ciotką Janką, którzy uciekając przed wojną uciekli do Wilkowic, tak jakby tu wojny być nie mogło. Widzimy więc, że Wilkowice były swoistym azylem bezpieczeństwa i szczęśliwości. Trudno będzie wam: naszym dzieciom, wnukom i prawnukom uwierzyć w tę szczęśliwość oraz w to, że „Stary Dziadek” i my też, byliśmy kiedyś młodzi.

Biegaliśmy po tych samych polach i łąkach, jeździliśmy na takich samych koniach, jeździliśmy tymi samymi wspaniałymi pojazdami konnymi (lando, karetą, powóz, bryczki i sanie), kąpaliśmy się w tej samej „głębinie” na zakręcie Neru i tak samo jeździliśmy na łyżwach po wspaniałym lodowisku, które powstawało corocznie na wylewach Neru zwanego



„polskim Nilem”. To my dziś, przy końcu naszego życia, tak jak Stary Dziadek, nazywamy pobyt w Wilkowicach naszym największym szczęściem, a tego szczęścia zażywał nasz Tata, czyli Stary Dziadek, dużo dłużej niż my, bo aż 19 lat, a my tylko 3, a miało to przecież dla niego i dla nas trwać wiecznie. Jego, z krainy szczęśliwości wyrwała pierwsza wojna światowa, a nas (ale jego też) druga i to na zawsze. Chociaż jego szczęście było dłuższe, to według mojej oceny mniejsze, bo on nie miał na wyciągnięcie rąk tego najwspanialszej łaski, jaką jest możliwość ucieczki w matczyne objęcia. Jego matka nie miała tego rzadkiego daru: wielkiego, mądrego serca. Przynajmniej my nie odczuwaliśmy go jako wnuki, a wiemy z późniejszych doświadczeń, że dar ten, jeżeli jest, to w babciach rozkwita coraz bardziej i piękniej. Przypuszczam, że my w tym okresie mieliśmy dużo, dużo więcej szczęścia, dostępnego zawsze na wyciągnięcie ręki. Natomiast, to, czego naszemu ojcu mogło zabraknąć

u matki, z nawiązką odbierał od swojego ojca, którego my wprawdzie mało znaliśmy, gdyż umarł jak mieliśmy 6 i 7 lat, ale nasz Tata zawsze wypowiadał się o swoim Ojcu z wielką miłością i szacunkiem, tak jakby tylko On ukształtował jego osobowość. Zresztą o wielkiej zacności i wielkim sercu naszego dziadka zwanego „Dziadkiem Dziedzicem” słyhać było z wielu stron i od bardzo wielu ludzi. Był znanym i szanowanym społecznikiem, inicjatorem powołania do życia mleczarni spółdzielczej, sklepu spółdzielczego i banku ludowego. Dowodem tej zacności i powszechnego szacunku niech będzie jego pogrzeb, który był olbrzymią manifestacją. Zjechali się wszyscy ziemianie i chłopi z okolicy, oraz mieszkańcy pobliskiego miasteczka Poddebice, nie wyłączając Żydów, z którymi zawsze pozostawał w dobrych stosunkach, choć w tych czasach nie zawsze to było dobrze widziane. Kondukt żałobny, z trumną na wozie strażackim, przystrojony girlandami, ciągniony czwórką koni, prowadzony był przez księdza drogą okrężną przez pola wilkowickie. Stary Dziedzic żegnał



swoje pola i swoje zbiory, a ksiądz w żałobnej homilii zwrócił się do niego: „Dziedzicu! Pora żniw, żąć czas zacząć, a Ty w pole nie ruszasz, żeńców nie wiesz?”. Stary Dziedzic żegnał swoje pola i pola żegnały swojego Dziedzica, a młody Dziedzic, czyli późniejszy „Stary Dziadek”, który dziedzicował po swoim ojcu tylko przez trzy lata, umierając w odległej Częstochowie 57 lat później, marzył pewno o szczęściu utraconym i też żegnał swoje, już dawno nie swoje, pola i łąki, i dawno nie swoje zbiory, które pewnie tak samo pachniały jak ongiś.

Ale wróćmy do wczesnej młodości „Starego Dziadka”.

Jak już wspomniałem, Dziadek w swoich wspomnieniach pisze, że jak wojna wybuchła to on miał 15 lat i dalej Dziadek pisze tak:

„Armia rosyjska ustępując przed wojskami pruskimi uporczywie broniła Łodzi, a po opuszczeniu Łodzi całe lato bitwy toczyły się po lewym brzegu Wisły. Użycie wiośnią przez Niemców gazów trujących zmusiło Rosjan do oddania Niemcom Warszawy”. (Dygresja: nie mamy pewności, czy wtedy Niemcy użyli gazów trujących i tej informacji nie zweryfikowaliśmy. Należy, więc do tego podchodzić z pewną rezerwą)

Musiła wtedy wystąpić jakaś mała stabilizacja, gdyż dalej Stary Dziadek pisze:

”wtedy rodzice wysłali mnie i brata do szkoły w Warszawie, do gimnazjum Górskiego”.

Nie wiem, o którym bracie Dziadek pisze. Wiem jednak skądinąd, że w tym czasie u Górskiego był późniejszy prymas kardynał Stefan Wyszyński, a od Zbyszka wiem, że stryjek Włodek był w tej samej klasie, co Stefan Wyszyński. Wnioskuje stąd, że musiał to być stryjek Włodek a nie Stefan², ale słyszeliśmy też, że w pewnym okresie w Warszawie była równocześnie cała czwórka: Stefan, Tadeusz, Hala i Włodek i mieszkali razem, w wynajętym mieszkaniu, ale nie mamy już gdzie tego zweryfikować.

Dalej Dziadek pisze:

„okupacja niemiecka trwała do jesieni 1918 r. W tym czasie tworzyło się wojsko polskie. Wojska austriackie i niemieckie kapitulowały. Nie wiem jak to organizacyjnie się udało, że oddziały P.O.W rozbrajały wojska okupacyjne”.

Dziadek wtedy jako 19-latek nie wiedział, a jako 90-latek zapomniał, że po ostatecznym załamaniu się wszystkich



² Ukończył Gimnazjum im.Kopczyńskiego w Warszawie

frontów armii niemieckiej, między dowództwem organizowanych wojsk polskich a komendą garnizonu warszawskiego stała konwencja, mocą której wolno było oddziałom niemieckim odjechać do „Vaterlandu”, pozostawiając armii polskiej uzbrojenie i magazyny z zapasami broni i amunicji oraz żywności. Po ucieczce gubernatora Warszawy Beselera, z rozkazu gen. Tadeusza Rozwadowskiego, feldmarszałek Remus von Woysch, jako zastępca gen. gubernatora warszawskiego, przekazał uzbrojenie i wszystkie zapasy wojskom polskim. Dalej Dziadek pisze:

„będąc uczniem ostatniej klasy maturalnej zgłosiłem się do wojska i dostałem się do 4-tego pułku ułanów. Młodzież szkolna zgłaszała się masowo do wojska, a w tym synowie ziemian i chłopów do kawalerii. W moim szwadronie było 40% ziemian i 60% chłopów. Były duże trudności z umundurowaniem. To też oficerowie mojego szwadronu kazali krawcom szyć z trzech mundurów niemieckich dwie ulanki. W sierpniu szwadrony 4-ego pułku ułanów zebrały się w Warszawie i nocą pociągami pojechaliśmy do stacji Łapy. Stąd tabory konne ruszyły do Białegostoku, a my za nimi jako kawaleria szliśmy pieszo, bo koni jeszcze nie było. Niemcy w panice opuszczali miasto, po opanowaniu którego dowiedzieliśmy się, że patrole wojska rosyjskiego przeprawiają się przez Niemen i patrolują okolice. Oddziały nasze pod dowództwem pułk. Dziewulskiego wyszły na rekonesans i usuwając wojska bolszewickie zajmują miejscowość Niemen. Wojska polskie rosą w siłę i wkrótce zajmują Lidę. Tworzy się brygada jazdy w składzie:

--1pułk szwoleżerów

--2dyon (tak napisał Dziadek, ale myślę, że chodzi tu o szwadron, gdyż dyony były tylko w artylerii) 2-giego pułku ułanów pod dow. mjr Mariusza (nazwisko nieczytelne)

--oraz 1dyon 4-tego pułku ułanów pod dow. mjr Nowiny Nowickiego

Ta brygada kawalerii wyruszyła w kierunku Wilna. Jadąc nocami, a w dzień odpoczywając nie przepuszczaliśmy nikogo w kierunku Wilna. W Wielką Sobotę o świcie dojechaliśmy do Wilna i zgodnie z planem uderzyliśmy na nieprzyjaciela. Ja brałem udział w zdobywaniu stacji kolejowej, gdzie nas 60-ciu wzięło do niewoli przeszło 1000 jeńców” (przypuszczam, że tu Dziadek nieco przesadził, no, ale jak to pisał miał przeszło 90 lat i mógł popuścić wodze fantazji, ale Włodek z Ostródy twierdzi, że tak było, bo pociąg z wojskiem bolszewickim wjechał na stację kolejową już opanowaną przez Polaków i bolszewicy wpadli po prostu w pułapkę).

W swoim pamiętniku Dziadek nic nie wspomina o krwawym wydarzeniu, jakie przeżył przy dalszym oczyszczaniu Wilna z bolszewików. Ja doskonale pamiętam to opowiadanie, o którym mówi też Maciej Kwiatkowski wspominając gawędy wuja Tadeusza. Otóż ułan Bogusławski wraz ze swoim szwadronem brał udział w oczyszczaniu Wilna z zabłąkanych bolszewików. W jednym z kolejnych domów wszedł na strych, gdzie zauważył jakieś ruszające się drzwiczki. Młody ułan podszedł do tych drzwiczek i otworzył je. Okazało się, że tam był ukryty jakiś dywersant, który wystrzelił z pistoletu, ale chybił. Wtedy młody ułan rozpaczliwym ruchem samoobrony zamierzył się na nieprzyjaciela i sztychem wpackował my szablę w gardło po samą rękojeść. Wystraszony tym, co zrobił młody żołnierz uciekł ze strychu zostawiając szablę w zabitym nieszczęśniku. Ułan Bogusławski nie miał odwagi wracać do swojego szwadronu bez szabli. Zatrzymanego ulicznika poprosił żeby za odpowiednim wynagrodzeniem przyniósł mu tę szablę. Chłopak chętnie przyjął zlecenie i przyniósł mu pozostawioną szablę zatrzymując sobie to, co znalazł przy zabitym. Nasz bohater mógł bez szwanku wracać do swojego szwadronu.

Dalej Dziadek w swoich wspomnieniach pisze tak:

„Po zdobyciu Wilna pociągiem przybyła dywizja piechoty, która opanowała miasto, a nasz pułk wraz z końmi został wysłany pociągiem przez Lidę do linii styku z nieprzyjacielem. Tu nas rozładowano i rozmieszczono na linii frontu. Na drugi dzień zostaliśmy wprowadzeni do walki. Zdobyliśmy jakieś miasteczko, którego nazwy nie pamiętam i trzymaliśmy je do

przybycia brygady piechoty, po czym 4 pułk ułanów wycofał się za rzekę do jakiegoś majątku ziemskiego. Stąd dostałem rozkaz bym pojechał ściągnąć wysuniętą placówkę naszego szwadronu. Po drodze wpadłem w ręce patrolu bolszewickiego. Jeden z bolszewików złapał za wodze mojego konia i chciał mi zabrać karabin. Ściągając karabin z pleców skierowałem lufę na wroga i wystrzeliłem. Atakujący mnie żołnierz bolszewicki puścił wodze i upadł, a ja galopem zacząłem uciekać. Nieprzyjaciele otworzyli za mną ogień. Miałem szczęście, bolszewicy źle strzelali i nie trafili we mnie, ale trafili w konia. Koń zwałił się na ziemię, a ja spadając zwichnąłem sobie rękę. Dalej uciekałem pieszo. Wskoczyłem w żyta i kierowałem się do lasu skąd ogień prowadziła polska piechota. Miało to miejsce 24 lipca, była śliczna pogoda, a kule bzykały mi koło uszów. Szczęściem napotkałem ponemieckie okopy, w których mogłem się skryć i którymi mogłem posuwać się w kierunku swoich. Po pewnym czasie strzały ustały i idąc dalej brzegiem lasu spotkałem patrol naszych ułanów, ale nie mogli mnie wziąć ze sobą, więc szedłem dalej w kierunku naszej piechoty. Silny ból zwichniętej ręki i wycieńczenie spowodowały, że w pewnym momencie straciłem przytomność. Zobaczyli to sanitariusze naszej piechoty, przybiegli, ocucili mnie i odwieźli do pobliskiego miasteczka, gdzie przekazali mnie jakiemuś Żydkowi zlecając mu odwiezienie do najbliższego punktu medycznego. Ale do tego miasteczka przyjechał zabłąkany oddział bolszewicki, więc Żydek zostawił mnie i zaczął uciekać. Skierowałem się w stronę rzeki, za którą wiedziałem, że są Polacy. Kiedy dochodziłem do rzeki, pocisk artyleryjski niszczy most na rzece. Wtedy do mnie podchodzi nasz ułan ciągnący karabin maszynowy. Po drugiej stronie rzeki pokazał się patrol ułanów. Wołaliśmy na nich i jeden z nich wpław przepłynął rzekę. Okazało się, że to był mój kolega. Sprowadził natychmiast pomoc z trzema luźnymi końmi, na których przewieźli nas i karabin maszynowy. Po przeprawie na drugą stronę rzeki zlecono miejscowemu młynarzowi odwiezienie mnie do pułku, gdzie lekarz pułkowy przy pomocy żołnierzy zestawił mi rękę a następnie odesłał do szpitala, gdzie przebywałem trzy tygodnie. Ponieważ po wyjściu ze szpitala nie nadawałem się do działań frontowych, przekazano mnie do komendy powiatowej w Sokółce, gdzie przepracowałem całą zimę organizując zaopatrzenie dla wojska”. W tym miejscu chcę wtrącić jeden szczegół, o którym Tata nie wspomina, ale on ma znaczenie ze względu na powiązanie z innymi, późniejszymi wydarzeniami. Otóż w czasie pobytu w Sokółce ułan Bogusławski poczynił pewne znajomości towarzyskie. Między innymi zaprzyjaźnił się z rodziną, w której były trzy młode panny, a których zdjęcia znajdujemy w Taty albumie fotograficznym. Na jednym ze zdjęć znajdujemy zachęcający podpis, „by Tadek wrócił tam gdzie słodko ciotka, matka, babka, uśmiechają się do Tadka”. Tyle mojego wtrącenia, do którego wrócę w odpowiednim czasie. Dalej Dziadek w swoich notatkach pisze:

„Po odbytej rekonwalescencji na wiosnę wróciłem do szwadronu, który w tym czasie był nad Berezyną. W maju 1920r. Rosjanie przystąpili do ataku, lecz zostali odparci. Dopiero po zdobyciu przez nasze wojska Kijowa, Rosjanie zorganizowali dwie armie konne, które uderzyły na tyły wojsk polskich. Nasz pułk był wtedy przydzielony do brygady piechoty w celu ochrony tyłów cofających się wojsk. Rosjanie mając znaczną przewagę liczebną, pod Hrebionką, klinem wbili się między naszą kawalerię a ochranianą przez nas brygadę piechoty. Cofając się zostaliśmy zepchnięci do bagien, którymi nie można się było dalej posuwać. Dowództwo nasze rozważyło już możliwość kapitulacji. Ja w tym czasie z dwoma kolegami zostałem wysłany na rekonesans terenu, podczas którego zauważyliśmy, że wojska rosyjskie zatrzymały się i szykują do posiłku. Złożyliśmy w tej sprawie meldunek swojemu dowódcy. Po otrzymaniu tej informacji rotmistrz Kreft zaproponował, aby zaszarżować na odpoczywającego nieprzyjaciela. Korpus oficerski zaakceptował tę śmiałą propozycję i dwa szwadrony pod dowództwem rotmistrza Krefta uderzyły na żołnierzy ustawiających się przed kotłami z zupą. Było kompletne zaskoczenie. W wojsku rosyjskim panika, żołnierze uciekają pozostawiając broń i wyposażenie. Zdobyliśmy wtedy armaty, które zaraz zostały

wykorzystane przeciwko nieprzyjacielowi. To zwycięstwo było absolutne, w bitwie został zabity nasz porucznik i jeden ułan. Dalej pozostawaliśmy jednak w odwrocie. Pułk nasz został przydzielony do dywizji poznańskiej, z którą przekroczyliśmy Bug. Po przekroczeniu Bugu, dostaliśmy rozkaz forsownego marszu do linii Wisły, gdzie czekały na nas barki, którymi przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Tu po krótkim odpoczynku i uzupełnieniu rezerw ruszyliśmy w kierunku Warszawy. W miejscowości Góra pod Warszawą wprowadzeni zostaliśmy do akcji w bitwie, która później została nazwana „cudem nad Wisłą”. To była ostatnia bitwa mojego wojowania w wojnie bolszewickiej”.

W tym miejscu uzupełnię szarżę rotmistrza Krefta moimi uwagami. Przeżycia wojenne w ramach 4 pułku ułanów wywarły olbrzymi, sentymentalny wpływ na całe życie „Starego Dziadka”. Choć po wojnie kończąc podchorążówkę, jako oficer rezerwy miał przydziały do innych jednostek, takich jak: 8 pułk strzelców konnych, czy 1 pułk szwoleżerów (elitarny im. Marszałka Józefa Piłsudskiego stacjonujący w Warszawie), to jednak do końca życia był związany z tradycjami i życiem 4 pułku ułanów. Do końca życia brał udział w zjazdach pułkowych, w których, w ostatnich latach mu towarzyszyłem. W jednym z ostatnich zjazdów w Jazgarzewie pod Warszawą, była obecna córka rotmistrza Krefta i wtedy właśnie z wielką emfazą wspomniano tę słynną szarżę jej ojca, szarżę, która przeszła do historii pułku jako bitwa pod Hrebionką.

Tak się zakończyły działania wojenne naszego Taty w wojnie bolszewickiej. Ale w tym czasie, kiedy Tata wojował, w jego rodzinnych Wilkowicach działo się, oj działo i to nie mało. Do sąsiedniego miasteczka Poddebice przyjechał z rodziną, by zacząć zarabiać na chleb dr Teodor Ursyn Pruszyński, przedstawiciel wielkiego klanu Pruszyńskich szeroko osiadłego na Wołyniu. Dr Pruszyński szczęśliwie uszedł z życiem z rewolucyjnej pożogi. Uszedł z życiem, ale poza tym z niczym, zostawiając cały dobytek wielu pokoleń. To, co klan Pruszyńskich zostawił na Wołyniu stanowiło olbrzymią fortunę. Liczne majątki rozłożone w rejonie Starego Konstantinowa z główną siedzibą w Rześniówce, oraz licznymi mniejszymi posiadłościami, takimi jak:

--Ilkowce i Werchniaczka, własność Pruszyńskich, którzy przyjechali do Poddebic, by zarabiać na chleb.

-- Wolica Kierekieszyna, własność rodziców znanego pisarza Ksawerego Pruszyńskiego, który później piórem zarabiał na chleb.

-- Rasztowka, własność Janiny i Zofii, córek nieżyjącego już Stanisława Pruszyńskiego, brata wyżej wspomnianego Teodora. Zofia, to późniejsza Zofia Szczucka, ale nie należy mylić z jej szwagierką Zofią Kossak Szczucką.

--Semerynki i Werborodyniec, własność Jana Pruszyńskiego, starego kawalera i dziwaka, zbieracza białych kruków bibliotecznych.

To są przykłady tego, co tam zostawiono, a jakie to było posłużyć się przykładem opisu Rześniówki, dawnej rezydencji Ordynacji Ostrogskich, która w 1613 r. przechodzi w ręce Lubomirskich za kniaziówną Ostrogską, a przy końcu XVII wieku odziedziczyli Rześniówkę Ponińscy. Tak opisuje Rześniówkę Antoni Urbański w swoim opracowaniu „Dwory kresowe – z tamtego czasu i z tamtych rubieży”:

„Była Rześniówka własnością Kaliksta Ponińskiego, generała, znanego z bitwy Maciejewickiej. Na początku XIX wieku kupił Rześniówkę od spadkobierców Kaliksta Ponińskiego starosta Piotr Sudymuntowicz Czeczela. Wnuczka Piotra Czeczela, Helena, zaślubiła Mieczysława Pruszyńskiego (pradziadka naszej Mamy), marszałka powiatu starokonstantynowskiego i tym sposobem wniosła Rześniówkę do rodziny Pruszyńskich. Potem odziedziczył Rześniówkę najstarszy syn marszałka, Bronisław Pruszyński. Budowę dworu rozpoczęli Ponińscy, ale gruntowną przebudowę przeprowadził Bronisław Pruszyński. Zburzono lewe skrzydło dworu i w tym miejscu postawiono drugą okrągłą wieżę, krytą metalowym hełmem. Wejście główne wprowadzało do wysokiego holu mieszczącego się we

wierzy, obok była sala jadalna z meblami z czarnego dębu i takież kredens. Na ścianach talerze fabryki koreckiej i nieborowskiej, oraz portrety Pruszyńskich i ks. Hieronimowej z Pruszyńskich Sanguszkowej. Dalej gabinet pana domu ze starymi meblami, obitymi skórą kordobańską, na ścianie makata rouge-cerise XVII wieku. W salonie meble Louis XV, trzy gobeliny, przedstawiające widoki parków na modłę francuską. Na jednym świątynia Sybilli w Tivoli, okrągły stolik z porcelanowym blatem i malowaną grupą pasterzy a la Watteau. W gablocie figury saskie. Dalej portrety Tarłów, pochodzące z zamku Wiśniowieckiego. Na piętrze sala żelazna z sufitem w belkowania i kasetony. Ze stropu zwieszał się świecznik staroświecki zrobiony z rogów łosi. Przy jednej ścianie duża szafa gdańska, pochodząca z Wiśniowca. Przy szafie broje, kolczugi, szyszaki, pancierz towarzysza pancernego z napisem „pro rege, fide et grege”, stare szable polskie i broń palna, muszkiety, garłacze, pistolety, wśród nich kilka inkrustowanych bogato kością słoniową i złotem na metalowej rękojeści. Na kredensie misy, kubki, puchary srebrne, ozdobione herbami i rysunkami, wytłaczanymi na cienkiej blasze. Na srebrze sentencje „mam tego za baj bardzo i za jak się zowie, kto duszkiem nie wychyli za Ursyna zdrowie”. Następna sala z dwoma gobelinami. Przedstawiony dwór Zygmunta i przeprawa wojsk w czasie bitwy XV wieku. Tuż obraz z sejmem warszawskim i portret męża z kryzą, dobrej szkoły. Jeszcze kilka obrazów szkoły holenderskiej. Na konsoli zegar barokowy z Atlasem dźwigającym kulę ziemską. Jeszcze salonik z obrazem Brodowskiego, oraz biblioteka z archiwami. Ze starych książek pisma Wacława Potockiego i Orzechowskiego”.

Z mniejszym przepychem, ale podobnie wyglądały pozostałe dobra Pruszyńskich na Wołyniu, dobra, które utracono w zawierusze rewolucji bolszewickiej w sposób tragiczny. Jak rozprawiono się z panami, plastycznie opisuje Zofia Kossak Szczucka w swoich wspomnieniach z Wołynia zawartych w książce „Pożoga”. Opisując poniżej losy dóbr Pruszyńskich na Wołyniu opieram się na wspomnieniach Zofii Kossak Szczuckiej umieszczonych w „Pożodze”.

Nie wszyscy uszli z życiem. Zginął na progu swoich Semerynek rozplątany na pół Jan Pruszyński. Stary dziwak i zbieracz, nigdzie nie wyjechał, nie schował się. Drzwi wyważono. Pruszyński padł na ziemię powalony kilkunastoma uderzeniami, przy nim służący Kałymek. Ciało odarto do naga, po śmierci jeszcze kalecząc i znieważając.

W Rasztówce zginęła broniąc majątku sierot: Janiny i Zofii Pruszyńskich, ich ciotka Aniela Świącicka, która gospodarowała majątkiem pod nieobecność gospodarzy i mówiła, że Rasztówki nie da. Pierwszym strzałem położono staruszkę na miejscu. Upadła na progu, tyle lat strzeżonym, wysokim, szczupłym ciałem jeszcze po śmierci broniąc rabusiom wstępu do domu. Ale to nie pomogło, dwór zrabowano, a czego nie zabrano, niszczone. Wśród krzyków i śmiechu tłuczono markizy i pasterzy z saskiej porcelany, palono białe kruki bogatej biblioteki. Niszczono wszystko puszczając resztę z dymem. Tak ograbiono i zniszczono bogatą Rześniówkę Bronisława Pruszyńskiego oraz Wolicę Kierekieszynę Edwarda Pruszyńskiego, ojca znanego pisarza Ksawerego Pruszyńskiego, oraz mniej bogate Ilkowce i Werchniaczkę Teodora Pruszyńskiego. Tam nikt nie zginął. Właściciele wcześniej zdążyli ujść. Z życiem uszedł senior klanu Pruszyńskich, Bronisław Pruszyński, marszałek szlachty guberni wołyńskiej, który spoczywa w grobowcu rodzinnym w Krakowie na cmentarzu Rakowieckim. Tam też spoczywa znany pisarz Ksawery Pruszyński i jego matka Anna z Chodkiewiczów Edwardowa Pruszyńska.

Z życiem też uszedł z całą swoją rodziną Teodor Ursyn Pruszyński, który przyjechał do Poddębic i zamieszkał w wynajętym mieszkaniu nad apteką. Nie miał nic na wstępne zagospodarowanie, ale z pomocą przyszli mu Żydzi. Jeden z nich powiedział: „pan doktor, niech pan jedzie do pan dziedzic z Wilkowic, to dobry pan, on panu pomoże”. Doktor Pruszyński skorzystał z rady usłużnego Żydka. Wynajął tzw. podwodę, to jest Żydka z wozem w półkoszkach, zaprzęgniętym w jednego konia i pojechał do „pan dziedzic z

Wilkowic” Nie trudno sobie wyobrazić jak ta podróż wyglądała, jeżeli sobie przypomnimy jak w serialu „Noce i Dnie” Szymszel z Kurzy wiezie panią Barbarę Niecheic do pan dziedzic Toliboski, „*bo to dobry pan, on pomoże*”. I rzeczywiście, dziedzic z Wilkowic pomógł. Tego nie wiem, ale przypuszczam, że doktor z Poddębic nie wracał do domu wynajętą podwodą, tylko dobrym pojazdem zaprzęgniętym w cugowe konie. Wiem natomiast to, że za nim pojechały wozy wyładowane w niezbędny do życia sprzęt i podstawowe produkty żywnościowe. Tak się rozpoczęła późniejsza zażyłość tych dwóch rodzin. Wilkowice były miejscem spędzania wszystkich świąt i wakacji. Tu córka doktora, Ninka Pruszyńska przyjeżdżała, aby poszaleć konno jak za dawnych wołyńskich czasów w swoich Ilkowcach. Tu też przyjeżdżała, aby w zimie pojeździć saniami, lub na kosturze po lodzie. Tu też w czasie jednych świąt Bożonarodzeniowych wybrała sobie przyszłego męża, Tadeusza, który w tym czasie wojował i nigdy wcześniej go nie widziała. Stary Dziedzic lubił bardzo Ninke, córkę doktora i mówił, że musi być jego synową, a miał przecież czterech synów do wyboru. Ninka chytrze wybrała tego, którego nie znała a który daleko wojował i wiadomo było, że nieprędko wróci. Ale Tadeusz wrócił, cały i zdrowy. Zgodnie z wolą Ojca i „wyborem” Ninki nie odpuścił. Począł tylko, żeby Ninka zdała maturę, a sam skończył rolnictwo i stanął na własnych nogach. Gdy objął pierwszą posadę instruktora rolnego w Izbie Rolniczej w Łęczycy, wynajął mieszkanie i ożenił się z Ninką Pruszyńską 23 kwietnia 1927r. Przed ślubem, jego przyszły teść, doktor Pruszyński poprosił przyszłego zięcia do gabinetu i zapytał: *czy pan chce, żebym panu wypłacił posag w dolarach, czy w rublach?* Młody Tadeusz zdębiał, gdyż nie spodziewał się żadnego posagu od uciekinierów z pożogi rewolucyjnej. Zaniemówił, ale doktor przyszedł mu z pomocą i wyjaśnił; *jeżeli mam panu wypłacić w dolarach, to nie dam ani centa, bo nie mam, ale jeżeli pan chce w rublach, to też nie dam, bo nie mam ani kopiejki.* Tak się zakończył kontrakt posagowy Tadeusza Bogusławskiego z doktorem Teodorem Pruszyńskim. Młodzi Tadeuszostwo Bogusławscy rozpoczęli swoje dorosłe życie w Łęczycy, mieście powiatowym, gdzie diabeł Boruta niepodzielnie panował i zaprowadzał swoje porządki. Ale chyba nie bardzo wchodził im w paradę, gdyż nasi Rodzice mile wspominają łeczyckie bytowanie. Tu według własnych upodobań urządzili sobie mieszkanie, kupili pierwsze meble, których elementy dzisiaj jeszcze egzystują u mojego brata w Ostródzie, a i ja mam część umywalki; kryształowe lustro w ramach, odciętych wraz z półką z dawnej, okazałej umywalki z marmurowym blatem, na którym przez wiele lat stawiano porcelanową miednicę i takiż dzban z wodą spełniające funkcje instalacji wod-kan. W Łęczycy podjął swoją pierwszą pracę i tu układał swoje dorosłe życie ze swoją Ninką, pod nadzorem diabła Boruty nasz Tata, a ja w 28 lat później też podjąłem moją pierwszą pracę i zamieszkałem ze swoją Inką w odległym o 10 km. Ozorkowie, gdzie urodziła się moja córka Małgosia, i gdzie diabeł Boruta też panował. W czasie zamieszkiwania w Łęczycy przyszły na świat dzieci Tadeuszostwa Bogusławskich: Włodek i Sławek (właściwie to Wiesław, ale w kręgach rodzinnych do dziś funkcjonuje Sławek, tylko dla obcych jestem Wiesławem). Właściwie to te dzieci nie przyszły na świat w Łęczycy tylko w Poddębicach, gdzie nasza Mama oddała się w troskliwe ręce swoich rodziców, czyli „Dziadków Doktorów”. Dziadek Doktor jednak nie czuł się na siłach przyjmować swoich wnuków, choć sam był świetnym położnikiem. Na urodziny swoich wnuków sprowadzał z Łodzi znaną panią doktor Stachowską, która przy pomocy miejscowej położnej, pani Różalskiej, zwanej panią bocianową, sprowadziła szczęśliwie na świat wnuków doktorostwa Pruszyńskich. Okres naszego dzieciństwa dla nas i dla naszych Rodziców był chyba okresem najszcześniejszym. Po kilku latach pracy jako instruktor rolny w Izbie Rolniczej w Łęczycy, nasz Tata przyjął bardzo intratną posadę administratora majątku Sarnów, dużego, dobrze zorganizowanego majątku państwa Stegmanów, majątku, jak na ówczesne czasy wyjątkowego, z własną instalacją wodno kanalizacyjną i instalacją elektryczną zasilaną z własnego źródła energii. Ale pomimo luksusowych warunków życia z

oświetleniem elektrycznym i bieżącą wodą, apogeum szczęśliwości przyszło później, kiedy nasz Tata zgodnie z testamentem „Dziadka Dziedzica”, objął zarządzanie rodzinnym majątkiem Wilkowice. Tu, w małym mająteczku, bez oświetlenia i kanalizacji, nasz Tata był na swoim, gospodarował według własnego uznania. Tu i chyba tylko tu, żył pełnią życia. Tu ciężko pracował, ale i tu się bawił. Stąd rodzice jeździli na bale ziemiańskie, gdzie przeważnie nasz Tata był wodzirejem, tu były organizowane wielkie polowania z nagonką i tu, z przyjaciółmi i z nami oczywiście, chodził po kartofliskach polując na kuropatwy, albo po łąkach na kaczki. Tata był świetnym strzelcem, brydżystą i co najciekawsze, świetnym tancerzem, choć słuchu nie miał za grosz. Czterej bracia Bogusławscy podobno mazura tańczyli świetnie i popisowo. Tu młody dziedzic jeździł ze swoimi synami konno, tu im pokazywał arkana woltyżerki i tutaj nawet śpiewał, choć był głuchy jak pień. Śpiewał oczywiście tylko dwa rodzaje piosenek: „żurawiejki” i „pana porucznika od ułanów”. Żurawiejki, to krótkie żartobliwe piosenki układane dla poszczególnych pułków ułanów, które zawsze kończyły się tym samym refrenem:



*„lance do boju, szable w dłoń
bolszewika goń, goń, goń”..*

Pamiętam kilka śpiewanych wtedy żurawiejek, na przykład:

*„Bije Żydów, poniewiera
to jest piąty pułk Hallera
lance do boju..... ”*

*„Pije wódkę robi dzieci
to ułanów pułk jest trzeci
lance do boju..... ”*

*„Któryś tam pułk dla zabawy,
przywiózł panny spod Lubawy
lance do boju..... ”*

*„Pije wódkę i gra w karty,
to, ułanów pułk jest czwarty
lance do boju..... ”*

Drugą piosenką repertuaru naszego Taty był jak wyżej wspomniałem „pan porucznik od ułanów”. Piosenka ta jest dziś powszechnie znana, bo śpiewał ją Ludwik Sempoliński, a później Bogdan Łazuka, ale dla nas pierwowzorem tej pięknej piosenki było wykonanie naszego Taty, a piosenka ta malowniczo ilustrowała jak pan porucznik od ułanów wiodąc dzielne hufce, swą kwaterę znalazł w leśniczówce. Tam usłużny pan leśniczy oferując mu gościnę zapytał, czy woli z nim spać, czy też woli z dzidzi. Pan porucznik, niechętny dzieciom odpowiada: „jeśli mam być szczery, to wolę z panem, bo nie lubię dzieci jak cholery”. Rankiem, niewyspany pan porucznik, bo leśniczy chrapał okrutnie, wyszedł w

śliczny poranek przed dom na ganek i spotkał cud dziewczynę, którą zapytał: „*ktoś ty jest piękna zjawo?*” Spłonione dziewczę odpowiada: „*jam jestem Dzidzi, córka leśniczego, a pan? jeśli można spytać oto?*” „*Jam jestem największym na świecie idiotą*”. Takie to pouczające piosenki śpiewał nasz Tata i tak nam życie leciało sielsko i anielsko, choć nie powiem by nas żadne przykrości nie spotykały. Przede wszystkim poważną dolegliwość, szczególnie dla mnie stanowiło to, że nas nie nazywano po imieniu, tylko na Włodka wołano Dudek (to można jeszcze znieść, bo u nas i kuc nazywał się Dudek i był kabaret Dudek, i ładny ptaszek a teraz nawet słynny bramkarz), ale ze mną było gorzej, na mnie wołano Lala, lub jeszcze lepiej Lalunia i to znosić już było trudno, a musiałem z tym żyć aż do wojny, która pozwoliła mi się wyzwolić z tego mało zaszczytnego zawołania (jedyny pozytyw tej wojny to to, że się pozbyłem „zaszczytnej” Laluni). Inną dolegliwością okresu naszego dzieciństwa, może już nie dla mnie, ale dla mojego braciszka, była nieszczęsna fotografia Dudka, nagusieńkiego en face. Dumny Tata fotografował to, co najważniejsze, ale biedny Duduś, jak dorósł do odbierania odczucia wstydu, na każdym kroku próbował usunąć wstydlive elementy swojego wizerunku. Tam, gdzie się to dało obcinał dolne partie swojego zdjęcia, a gdzie się nie dało, to próbował zamalować, to, co stanowiło prawdziwą dumę jego Tatusia. Tak upojeni szczęściem żyliśmy tylko trzy lata. Pierwszego września 1939 r. o godz.4.45 w piątek wojska niemieckie bez wypowiedzenia wojny ruszyły do natarcia i czar życia wilkowickiego prysnął na zawsze. Tata nie doczekał się na wezwanie mobilizacyjne i postanowił zgłosić się do pułku bez wezwania, ale chciał, aby przed wyjazdem, jego synowie byli u pierwszej komunii św.. Byliśmy już przygotowywani do pierwszej komunii w przyszłym roku, ale sytuacja i wola naszego Taty wymusiły przyspieszenie tego sakramentu. Rodzice skłonili naszego proboszcza ks.Henryka Laskowskiego do wyjątkowego dopuszczenia nas do pierwszej komunii bez dostatecznego przygotowania

05.09.1939 r. w kościele parafialnym w Turze, pełnym naszych parafian i uciekinierów wojennych, w atmosferze nalotów bombowych, na mszy specjalnej odprawianej w warunkach zagrożenia wojennego, przystąpiliśmy do sakramentu pierwszej komunii św. w obecności naszego Taty i przy gromkim śpiewie „Suplikacji” i „My chcemy Boga”, wykonywanym w większości silnymi męskimi głosami. Ksiądz Henryk Laskowski udzielił nam pierwszej komunii, a wszystkim obecnym w kościele udzielił zbiorowego rozgrzeszenia, które udzielane może być w warunkach szczególnego zagrożenia życia i wszyscy wierni zbiorowo przystępowali do komunii. Komunia którą nam udzielił ks.Laskowski, była dla niego ostatnią „pierwszą komunią” udzielaną dzieciom, gdyż wkrótce został wywieziony do Dachu i bardzo szybko prochy jego wraz z drobiazgami osobistymi, z niemiecką dokładnością zostały odesłane do domu. Tata nasz, dla którego „Bóg, Honor i Ojczyzna” nie były tylko frazesami haftowanymi na sztandarach, dokonawszy obowiązku przyprowadzenia dzieci do pierwszej komunii, ubrał się w mundur, wziął broń osobistą, pożegnał się z nami i wyjechał bryczką w parę koni, by zameldować się w najbliższym punkcie mobilizacyjnym. Krótco po jego wyjeździe gruchnęła wiadomość, że w Poddębicach są już Niemcy, a następnie na podwórze wjechały konie, którymi nasz Tata wyjechał wojować. Jednocześnie doniesiono, że na szosie Niemcy rozstrzelali jakiegoś dziedzica Do nas nie dopuszczono tej wiadomości, ale łatwo sobie wyobrazić, co nasza Mama wtedy przeżyła. Wiadomość ta została wkrótce zweryfikowana. Tata na szosie do Łęczycy spotkał jakiś samochód osobowy, którym zabrał się w dalszą podróż odsyłając konie do domu. Na szosie natomiast został zabity, młody, dwiętnastoletni dziedzic z Przystajni, Józef Koczorowski, który wioził dobytek zabrany z rodzinnego majątku i gonił rodzinę jadącą przodem. Rodzina jego, wracając z ucieczki



wojennej zatrzymała się u nas na nocleg. W rozmowie o wojennych przeżyciach uciekinierów, nasza Mama zorientowała się, że zaginiony ich syn, to właśnie ten chłopiec rozstrzelany u nas na szosie. Możliwie najogólniej przekazała im tę przerażającą wiadomość. Nie trudno sobie wyobrazić reakcje tych ludzi, no, ale tak właśnie zaczęła się okupacja niemiecka. Potem było dożo więcej gorszych przeżyć, ale powoli zaczęły nam powszednieć i nieco traciły na swej wyrazistości. Rozpoczął się ponury okres okupacji. Podwórze zostało wypełnione wojskiem niemieckim, przeważnie tabory konne. Wielkie wozy zaprzęgnięte w olbrzymie konie, ardeny i perszerony, z kurtyzowanymi ogonami, wyglądały jak smoki przy naszych podrasowanych, gorąco krwistych gnidoszach i kasztanach. Nie wiem, dla czego to wszystko było takie wielkie i groźne. Nawet koła u wozów taborowych były dwa razy większe jak nasze, jak normalne, nie mówiąc już o uzbrojeniu i transporterach zmechanizowanych, których nigdy przedtem nie widzieliśmy. Ale ta wielkość nie była jednak taka wielka, W tydzień po wejściu do nas Niemców, zagon polskiej kawalerii, odnoszącej sukcesy w słynnej bitwie nad Bzurą, zapuścił się przez Gostków w kierunku Poddębic przez Nową Wieś i Golice. Ta wielka siła wiała przez pola i łąki gdzie pieprz rośnie, a za nimi wjechał mały oddział ułanów z lancami i szablami, ogłaszając buńczucznie, że w Gostkowie byli na sumie, a teraz jadą do Poddębic na nieszpory. Nie udały im się te nieszpory. Ominęli Poddębice i poszli w kierunku na Ozorków i Łowicz z odsieczą Warszawie, ale radość wracających, malowniczych, polskich ułanów była niezapomniana. Ludność cywilna wyległa na drogę witając naszych żołnierzy i częstując ich, czym chata bogata, a za wojskiem szli młodzi mężczyźni domagający się wcielenia do wojska. Ci żołnierze jednak nie prędko doszli do stolicy, gdzie od samego początku walk o Warszawę walczył już nasz Tata. Pierwsze oddziały gen. Kutrzeby przebiły się do stolicy dopiero 19 września. Jako pierwszy pułk Armii Poznań, do stolicy wchodzi 14 pułk Ułanów Jazłowieckich. Następnego dnia do Warszawy dobił też gen. Kutrzeba i zameldował się u gen. Rómmla, który powierzył mu funkcję swojego zastępcy. Uporczywa obrona Warszawy trwała do 27 września. W godzinach rannych gen Kutrzeba z rozkazu gen. Rómmla udaje się do niemieckiego dowództwa w celu ustalenia warunków kapitulacji. Niemiecki dowódca wojsk oblegających Warszawę i Modlin, gen. Johannes Blaskowitz przyjął nasze warunki, które stawiał gen. Rómml:

-- Wszyscy oficerowie i podoficerowie idą do niewoli na warunkach honorowych zapewnionych przez Konwencję Genewską.

-- Wszyscy żołnierze z poboru, po załatwieniu formalności mają być zdemobilizowani i puszczeni do domów.

-- Niemieckie dowództwo zobowiązuje się do udzielenia niezbędnej pomocy szpitalom i głodującej ludności stolicy.

W tych okolicznościach do niewoli dostał się nasz Tata, który został wcielony do wojska dopiero w Warszawie i brał udział w obronie Warszawy do samego końca. Oczywiście o jego walce na ulicach stolicy i o dostaniu się do niewoli nic nie wiedzieliśmy. Pierwsza wiadomość, jaka do nas dotarła to taka, że w Łowiczu i w Sochaczewie są obozy jenieckie polskich oficerów. Bardzo młode jeszcze, bo mające niewiele ponad trzydzieści lat, i bardzo nierozsądne, nasza Mama i Ciocia Janeczka (tu Włodek mnie poprawia, że Ciocia Janeczka nie miała jeszcze 30 lat) wyruszyły w drogę szukać swoich mężów. Po licznych tarapatkach dojechały do miejsc przetrzymywanych jeńców, ale okazało się, że obozy tymczasowe zostały już zlikwidowane. Z niczym, a właściwie to nie z niczym, bo z potężnymi wszami, wróciły do domu i czekały na jakieś wiadomości. My z naszą Mamą wyjechaliśmy do Poddębic, do naszego Dziadka, t. zw. „Dziadka Doktora”, a Ciocia Janeczka ze Stasiem, do swojego domu, do Suwałk. Zaczęły się mroczne czasy okupacji, masowe represje: Księża, nauczyciele, działacze społeczni i polityczni oraz ziemianie, zostają wywiezieni do Dachau i innych obozów koncentracyjnych. W wielu miejscach odbywają się publiczne egzekucje. Żydzi zostają zamknięci w gettach, a następnie likwidowani w ramach

ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. My czekamy na jakąś wiadomość od Taty. Wreszcie przychodzi pierwszy list przez Kriegsgefangenenpost. Krieg - to wojna, Gefangene - to jeńiec, Tata mówi: to ja i Mama mogła być już spokojna, gdy znała te słowa dwa. Rzeczywiście mogła być spokojna, bo Konwencja Genewska rzeczywiście ratowała im życie. W ciężkich warunkach obozowych jednak przetrzymali mroczne lata okupacji, co nie udałooby im się gdyby zostali na tak zwanej wolności, Tam byli w pewnym sensie chronieni, głód łagodziły paczki wysyłane z domu o wielkości i ilościach ściśle określonych, oraz paczki z czerwonego krzyża, a tu, jeżeli nie zostaliby zamknięci w obozach koncentracyjnych, to prowadziliby ustawiczne walki partyzanckie ze stałym narażaniem życia. Nasz Tata, po zamknięciu kart walki tragicznego września 1939 r., został jeńcem obozu jenieckiego „Oflag II C in Woldenberg”. Oflag liczył prawie 6000 oficerów: obrońców Westerplatte, Helu, Modlina i Warszawy, bitwy nad Bzurą i pod Kockiem, oraz innych prowadzonych na terenie całego kraju. Życie obozowe było oczywiście jednostajne i monotonne, ale nie było tylko czekaniem na zmiany, choć przez długi czas były niezmiennie komunikaty, że na „zachodzie bez zmian”. Wzięto sobie do serc maksymę Mariana Porwita: „Jednakowym jaśnieje blaskiem czyn żołnierski i żołnierska cnota w wojnie zwycięskiej i wojnie przegranej”. Jeńcy organizowali się w różnego typu działalność; kursy zainteresowań, koła regionalne, wystawy, konkursy, teatry, chóry i grupy światopoglądowe. Była orkiestra i biblioteka, uczelnia i instytucje naukowe. Organizowano zawody i imprezy sportowe. Działały również wojskowe oddziały konspiracyjne, które organizowały ucieczki i łączność radiową pozwalającą odbieranie komunikatów z placówek Armii Krajowej oraz z Londynu, co pozwalało na redagowanie „Dziennika Obozowego”. Nasz Tata, ze względu na wiek, choć miał niewiele ponad 40 lat, nie kwalifikował się do ucieczki, jako szczególnie przydatny do działań wojennych, więc skorzystał z okazji i skończył kurs historii, która zawsze należała do kręgu jego zainteresowań, no, i oczywiście grał w karty, bo to też była jego pasja. Tak doczekał ewakuacji obozu w styczniu 1945 r.

30 stycznia czołgi Radzieckie odbiły 4 spośród 6 batalionów jenieckich w rejonie Barlinka. Pozostałe 2 bataliony, w których był nasz Tata, odeszły w rejon Monachium, do Murnau, gdzie w maju wyzwoliły je wojska aliantów. Marsz ten z Woldenbergu do Murnau nie był łatwy; jeńcy dobili na miejsce przeznaczenia krańcowo wyczerpani, nasz Tata ważył (razem z brodą do pasa) 39 kilogramów. Po wyzwoleniu na zachodzie odnalazł naszego Tatę, jego brat, nasz Stryj, płk.Stefan Bogusławski, który po kampanii wrześniowej był internowany na Litwie, a następnie dostał się w zbawienne ręce naszych przyjaciół ze wschodu i znalazł się w sanatorium w Kozielsku, skąd przed całkowitym wyleczeniem udało mu się wyjść i wraz z armią gen. Andersa przebyć cały szlak bojowy przez Iran, Irak, Afrykę i Włochy zaliczając po drodze Monte Casino. Przypuszczam, że od naszego Taty dopiero, Stryj dowiedział się o losach jego rodziny w kraju, bo przez cały czas jego wojowania nie mógł mieć żadnych wiadomości, a Tata przecież cały czas prowadził regularną korespondencję na urzędowych druczkach „Kriegsgefangenenpost” i miał regularne informacje o całej rodzinie w kraju. Te listy na druczkach urzędowych, podlegających ścisłej cenzurze, pisane wyłącznie ołówkiem, nasza Mama zbierała i są dzisiaj ciekawym dokumentem przekazywanych informacji; kto „choruje” i kto przestał „chorować”, ale nie „wyzdrowiał” jak n.p. Piotruś rozstrzelany na Pawiaku. W listach tych, też Tata rysował nam świetlaną przyszłość, jak wróci do domu i jakie będziemy organizować wycieczki. Jedną z pierwszych miała być dziękczynna, konna pielgrzymka do Częstochowy; my z Tatą mieliśmy jechać konno, a Mama bryczką miała wieźć bagaże. Tata po wyzwoleniu, prawdopodobnie pod troskliwą opieką Stryja Stefana, wysokiej rangi oficera, szybko odzyskał siły i zaciągnął się do służby wojskowej na zachodzie, co zniemiennie odbiło mu się po powrocie do kraju, ale o tym później.

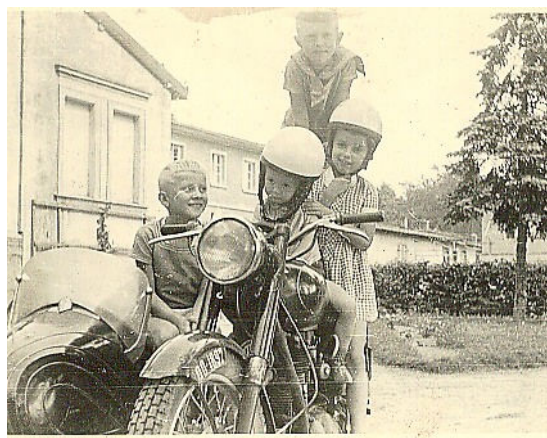
Tymczasem wróćmy na chwile do naszych przeżyć okupacyjnych. Jak już wcześniej wspomniałem, nie czekając na wywózkę udaliśmy się z naszą Mamą pod troskliwe skrzydła naszego „Dziadka Doktora”, gdzie przebywaliśmy przez całą wojnę. Krótco po przyjeździe do Poddębic musieliśmy opuścić niedawno wybudowany dom Dziadka Doktora, gdyż był on przeznaczony dla lekarza niemieckiego, zresztą bardzo przyzwoitego Niemca, żonatego z Polką, też lekarzem, którzy rozpoczęli praktykę lekarską w Poddębicach i czuli się bardzo zawstydzeni, że zajęli dom Dziadka. Ta przeprowadzka do innych, wprawdzie podłych warunków, miała charakter cywilizowany, na ogół rzadko występujący w warunkach okupacyjnych. Na ogół były to brutalne wysiedlenia pod nadzorem żandarmów, lub funkcjonariuszy NSDAP, nie rzadko połączone z aresztowaniem i wywózką na roboty lub do obozów. Miało to miejsce w przypadku naszych wujostwa Pieńkowskich w Mrównie. Byliśmy wtedy z bratem u wujostwa na wsi, by zażyć swobody i pewnego dnia zajęła wataha uzbrojonych szwabów nakazujących w pół godziny spakować się, bo zostają wywiezieni. Nasza kochana Ciocia Zosia, chcąc uchronić nas przed wywózką, skrycie wypuściła nas przez okno do parku i kazała uciekać, ale sami niestety zostali wywiezieni do więzienia na Łąkowej, w Łodzi, z przeznaczeniem wywózki na roboty do Niemiec. Nam udało się wtedy wrócić do domu, omijając po drodze wsie, gdyż prawie wszędzie były wywózki. Naszej Mamie udało się wkrótce wydostać wujostwa z więzienia i przez

pewien czas mieszkali z nami w Poddębicach, bardzo pomagając naszej Mamie w czasie pielęgnacji Dziadka w czasie choroby. Wuj Pieńkowski godzinami czytał Dziadkowi książki, a czytał świetnie, natomiast Dziadek chrapał aż szyby drżały tak długo jak wuj czytał. Jak przestał, to natychmiast się budził i pytał, dla czego nie czyta? I lekturę kontynuowano dalej. Dobrze nam wtedy było, choć trochę ciasno, bowiem było nas



aż osiem osób w trzech pokojach, w tym gabinet lekarski Dziadka. Warto przypomnieć, kto wtedy mieszkał, a więc: Dziadek, my z Mamą, wujostwo Pieńkowscy, mademaiselle Helene, Francuzka, dawna guwernantka naszej Mamy, nazywana przez ogrodnika „*panią marmazelą*”, oraz ciotka naszego Dziadka, babcia Jaskólska, która przez cały czas okupacji prowadziła tajne nauczanie dużej grupy dzieci. Po wojnie, rodzice nauczanych wtedy dzieci ufundowały tablicę pamiątkową na jej grobie z napisem: nauczycielce tajnego nauczania w czasie okupacji – wdzięczni uczniowie. Do pełnego obrazu gęstej atmosfery dodać jeszcze należy stałych i przejściowych stołowników takich jak samotni: lekarz weterynarii dr Okwieciński, mjr Leszner i miejscowy aptekarz, oraz okresowi wojenni tułacze jak p. Naigrakowski i inni. Wujostwo Pieńkowscy po pewnym czasie wyjechali oficjalnie, czy nie oficjalnie, tego nie wiem, do Guberni, a życie toczyło się dalej w okupacyjnej atmosferze. W 1943 r. poszliśmy do pracy, by uniknąć represji w postaci łapanek dzieci na zbieranie kwiatów lipy, albo sprzątanie i wyrywanie traw z bruku na rynku, czy też chodzenie na grzyby z obowiązkowym zebraniem wyznaczonej ilości borowików. Brakująca ilość borowików była odliczana na grzbiecie zbieracza. Najpierw zaczął pracować mój brat w ogrodzie miejscowego majątku, oczywiście administrowanego przez niemieckiego treuhendera. I tu chcę przypomnieć wspomnianą przeze mnie znajomość naszego Taty, zawartą w czasie pierwszej wojny w Sokółce z trzema pannami, którymi były: ciotka, matka i babka, uroczo uśmiechające się do Tadka. Otóż mój braciszek, jako chłopak od ogrodnika, nosił warzywa do kuchni pałacowej, a będąc zawsze bardzo spostrzegawczy, dopatrywał się w

żonie treuhendera, jednej z tych pań z Sokółki, które w Taty albumie słodko uśmiechają się do Tacka. Mama nie dała wiary, ale po pewnym czasie, ta właśnie pani, spostrzegłszy chłopca przynoszącego warzywa do dworskiej kuchni, dowiedziała się jak on się nazywa i zapytała go, czy przypadkiem nie znał niejakiego Tadeusza Bogusławskiego z Wilkowic. Braciszek przytaknął i dodatkowo poinformował, że pani zdjęcie jest w albumie naszego Taty. Okazało się, że to była jedna z tych pań, która później nawiązała kontakt z naszą Mamą i do końca utrzymywała przyjazne stosunki. Mój brat awansował na rządcę folwarku Chropy, podlegającego administracji treuhendera majątku Poddebice. Jeździł codziennie konikiem do Chrop z dyspozycjami, a z powrotem przywoził raporty dobowe i mleko. Ja też zacząłem pracować w tym majątku i początkowo jako nieletni wykonywałem najgorszą pracę, jaka może się przytrafić; mianowicie oganiałem wróble z inspektów (nie macie pojęcia, jakie to nudne, godzina ma na pewno więcej niż 60 minut). Ale nie długo to trwało i na szczęście później już pracowałem jak normalny człowiek. W takich mniej więcej warunkach, względnie spokojnie udało nam się przetrzymać okupację pod troskliwymi skrzydłami Dziadka Doktora. Tata wrócił do domu po demobilizacji sił zbrojnych na zachodzie w 1946 r. Okazało się, że przyjechał za późno i od razu był podejrzany. Musiał codziennie meldować się na milicji, aż w końcu dowiedział się, że jest osobą „non grata” z racji ziemiańskiego pochodzenia i opóźnionej decyzji powrotu do kraju. Nie ma prawa, oczywiście wrócić do rodzinnych Wilkowic, gdzie się urodził i gdzie się rodziło i umierało kilka pokoleń rodzinnych, a nawet nie ma prawa zamieszkiwać w powiecie, w którym znajdował się jego majątek podlegający upaństwowieniu i najlepiej, żeby wyjechał jak najdalej. Zdaje mi się, że w ministerstwie rolnictwa skierowano go na ziemie odzyskane, gdzie dominowało rolnictwo PNZ-owskie (Państwowe Nieruchomości Ziemskie) i tam otrzymał ciekawą dosyć posadę kierownika majątku w Krokowej, dawnego majątku von Krokowów. Tata zabrał Mamę i cały dobytek mieszczący się w jednej walizce i wyjechał. Było to bardzo sympatyczne miejsce, blisko morza, było gdzie przyjeżdżać na wakacje. Tu po raz pierwszy zobaczyliśmy morze. Mama, z racji stołowania oficjeli majątkowych, miała pomoc domową. Była to krewka Kaszubka, posługująca się ciekawym językiem polsko-kaszubskim, wzbudzającym powszechną wesołość. Na przykład, pewnego razu Tata sprawił sobie nowe spodnie, bryczesy (spodnie do długich butów), pewnie szyte w Poddebicach, bo gdzie by mogli tak dobrze uszyć, jak nie w Poddebicach, u przedwojennego krawca Burskiego? Spodnie te bardzo się podobały owej Kaszubce, co spontanicznie wyraziła tak: „*panu w tych spodniach fajnie stoi*”. Wywołała tym burzę śmiechu, wslawiając się już wtedy tak, jak marszałek Zych w 50 lat później na mównicy sejmowej. Nic dziwnego, że nasza kuzynka, Hania Rudowska, sownie sobie z niej dworowała, i nie tylko z niej, bo miała na ogół wesołe usposobienie i będąc zawsze bardzo grzeczną, wchodząc na śniadanie mówiła ostentacyjnie „*dzień dobry, smacznego*”. Dzięki naszej Mamie dom w Krokowej nabrał życia, przypominającego wilkowickie czasy. Znowu w święta i wakacje było nas pełno. Z reguły przyjeżdżał Staś i Zbyszek, osierocony w czasie wojny, często też bywali nasi cioteczni bracia: Mariusz i Ryś z Poddebic, których ojciec zginął w Katyniu, a sami przeżyli zsyłkę na Sybir, wyżej wspomniana Hania Rudowska oraz t.zw. Tycia i Tuta Kańskie, których ojciec zginął w czasie kampanii wrześniowej. Było, więc gwarno i wesoło, ale się skończyło. Dopatrzone się niewłaściwego oblicza politycznego i Tata musiał wyjechać na inny teren działania. Zaczęła się ustawiczna zmiana posad i miejsc zamieszkiwania. Najpierw Rodzice przenieśli się do



W tym miejscu kończy się ten rozdział. W następnym rozdziale opiszę, jak Tata i Mama wyjechali z Krokowej i gdzie się osiedlili. W tym rozdziale opiszę, jak Tata i Mama wyjechali z Krokowej i gdzie się osiedlili. W tym rozdziale opiszę, jak Tata i Mama wyjechali z Krokowej i gdzie się osiedlili.

majątku Łebunia, koło Lęborka, gdzie Tata miał dosyć intratną posadę zastępcy dyrektora zespołu PNZ-owskiego, ale wkrótce nastąpiła reorganizacja w rolnictwie wraz, z którą przeprowadzono generalną czystkę kadry kierowniczej. PNZ-ty zostały Przekształcone w PGR-y, a przy okazji przeprowadzono szereg procesów dyrektorom i kierownikom wielu PNZ-owskich jednostek organizacyjnych. Wiele osób zostało skazanych na dożywocie, tak jak dyr. Marengę, naczelny dyrektor PNZ-tów, czy też dyr. Czarnecki, dyrektor Koszalina, a nawet na karę śmierci w słynnych procesach w Łodzi i w Sztumie. Naszemu Tacie się udało, został tylko zdegradowany ze stanowiska zastępcy dyrektora na stanowisko księgowego w Leśnicach, w jednym z majątków tego samego zespołu. Rodzice przenieśli się do Leśnic. Tu było nawet miło. Tu przyjeżdżała moja bratowa, jako oficjalna narzeczona Włodka i Staś będący w tym czasie w wojsku w Ustce, no i nasza pierwsza siostrzenica Basia Thun, którą okrutna mama, przy moim oburzeniu, nagusieńką opalała przed domem nie chroniąc przed słońcem, ptactwem i innymi zagrożeniami. Po pewnym czasie zorientowano się, że zbyt dużo przydatnych w rolnictwie ludzi wykoszono i powoli zaczęto ich przywracać do łask. Tata w tym samym zespole został kierownikiem już teraz PGR-u w Małoszycach, ale tu koczowali bardzo krótko, tylko raz udało mi się tam być. Przenieśli się do Szymbarka, bardzo ładnego zespołu PGR-owskiego, ze starym krzyżackim zamkiem, nad ślicznym jeziorem, niedaleko Hławy, gdzie Tata był zastępcą dyrektora i gdzie przyjechałem ze swoją Inką, by przedstawić ją jako przyszlą synową. Może było by tu nieźle, ale też się skończyło. Nie wiem, dlaczego? Może Tata był mało pokorny, uparty, zawsze stawiający na swoim, a to nie wszystkim się podobało, a może ciągle pokutowało to „wraże” pochodzenie, albo może nowa reorganizacja polegająca na likwidacji zespołów. Jakby nie było, wkrótce miała miejsce następna przeprowadzka do majątku Bałszyce, koło Susza. Tu jednak Tata szybko się naraził, bo manifestował swój klerykalizm prowadząc księdza pod rękę w procesji na Boże Ciało, czy służąc do mszy. Nastąpiła następna przeprowadzka, ale zdążyłem tu jeszcze przyjechać, już z moją żoną Inką i córeczką Małgosią, która bardzo lubiła jeździć z Dziadziusiem konikami po folwarkach. Następnym miejscem postoju było Gajewo, koło Malborka. Był to ładny majątek hodowlany z oborą zarodową. Tu też zdążyliśmy być z Inką i z Małgosią, ale tylko raz, bo następnym miejscem krótkiego postoju były Bałcyny, majątek doświadczalny Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie, gdzie Tata był zatrudniony na stanowisku kierownika praktyk studenckich. Potem miała miejsce jeszcze jedna przeprowadzka do Gierzwałdu, koło Ostródy, gdzie też raz zdążyliśmy zaliczyć jedne wakacje a następnie powrót do Bałcyn na dawne stanowisko kierownika praktyk studenckich. Tu zaliczyliśmy więcej wakacji, tu byliśmy już z Małgosią i z Andrzejkiem i tu Tata dopracował do emerytury. Stąd Rodzice przenieśli się na ostatnie miejsce postoju do Częstochowy. Tu moja Inka, przez męża swojej koleżanki załatwiła naszemu Tacie dodatkową posadę w Wojewódzkim Ośrodku Unasienniania Zwierząt, gdzie czuł się bardzo dobrze i uważał, że tu miał najsympatyczniejsze stosunki w pracy. Tu też dodatkowo prowadził przy Politechnice Częstochowskiej, zamiejscowy Punkt Konsultacyjny dla studentów Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie. Tu jednak mieszkali w najgorszych warunkach mieszkaniowych, w jednopokojowym mieszkaniu spółdzielczym, w betonowym wieżowcu, niemal w centrum miasta, daleko od umiłowanych pól, łąk i lasów. Tak dużo pisząc o wędrówce naszych Rodziców, zadaję sobie pytanie; dlaczego, i jak to było możliwe, by z takim stoickim spokojem, bez sprzeciwu, godzić się na takie tułaczne życie. Odpowiedź jest jedna: koniec wojny niczego nie skończył, zostawił uczucie zaskoczenia, zawodu, niepewności i głębokiej rozterki. Tata długo wahał się, ale w końcu podjął decyzję powrotu do kraju jako coś trudnego, ale oczywistego, na co nie mógł się zdecydować Stryj Stefan, który jak wcześniej pisałem, przeżył sanatorium w Kozielsku i wybrał emigrację, do końca życia pozostając w Londynie, nie doczekawszy upadku komunizmu i wolności. Komunizm był dla naszego Taty systemem wrogim i niezrozumiałym, a mimo to postanowił wrócić i współdziałać z władzami PRL-u, w myśl maksymy formułowanej przez Macieja

Kwiatkowskiego: „TRUDNO, TAK TRZEBA”. Dla tego z pełną determinacją łączył to „TRUDNO” z imperatywem „TRZEBA”, choć władze PRL-u nie zawsze chciały z nim współdziałać, zawsze uważając go za wroga klasowego. Trudy tułaczki łagodziła niewątpliwie postawa naszej Mamy, która nigdy nie narzekała i nie robiła żadnych wymówek. Wszędzie umiała stwarzać dom, w którym było ciepło, dobrze i pewnie, i choć ciągle gdzie indziej, to wszędzie prawie tak samo, nawet w Częstochowie, na 30 m. kw. w betonowym wieżowcu. Wszędzie ta sama przytulna atmosfera, pełna ciepła i życzliwości, te same obrazki, makatki i talerzyki na ścianach, przy prymitywnym umeblowaniu, gdyż przy tylu przewodach i przy takich dochodach innego być nie mogło. Ale tutaj spotkała naszego Tatę największą przykrość. Wkrótce po jubileuszu 50-lecia Ich małżeństwa umarła nasza Mama, dusza i głowa tego Domu.

Tata został sam, zupełnie sam, by zgłębiać niematerialną wspólnotę żywych i umarłych, rozpiętą już, nie jak Maciej mówi: między determinantą „TRUDNO”, a imperatywem „TRZEBA”, lecz między „TRUDNO”, a kategorycznym dyktatem „TAK MUSI BYĆ”. My z bratem, już od kilku lat zgłębiamy tę niematerialną wspólnotę i doskonale znamy ciężar gatunkowy tego kategorycznego dyktatu „TAK MUSI BYĆ”. Tata po śmierci Mamy ciężko chorował, miał wstawiony rozrusznik, a ja po śmierci Inki też trochę chorowałem i miałem wstawiane bay-pasy, a więc wydawałoby się, że przeżycia mogły być podobne. Ale to tylko tak się wydaje, bo ja miałem na miejscu dwie córki i syna. Jedna córka mieszkała ze mną i pielęgnowała mnie w domu, a druga zabezpieczała opiekę w kilku kolejnych szpitalach i rekonwalescencję po powrocie do domu. A nasz Tata nie miał córek, miał tu, na miejscu tylko mnie, a ja nie znałem jeszcze wtedy ciężaru gatunkowego tego kategorycznego dyktatu „TAK MUSI BYĆ” i nie umiałem mu przekazywać tego, co najważniejsze. Mnie się tylko wydawało, że spełniam moje obowiązki w zakresie opieki i wypełnienia jego samotności, ale tak nie było, czego dowodem jest następująca sytuacja; było to nie długo przed jego śmiercią, Tata zawołał na mnie:

- *Słaaaawku!!!*
- *co? Tatuśku.*
- *pocałuj mnie.*

Jak by we mnie piorun strzelił. Wtedy dopiero zrozumiałem jak marna była moja opieka. Nie umiałem mu dać tego, co najważniejsze; niezbędnej każdemu odrobiny czułości, o którą musiał prosić i której znaczenie poznałem osobiście. Ale na szczęście, tego, czego ja nie umiałem mu dać dostarczała mu moja córka Małgosia. Ona umiała dawać mu to, co stawiało go na nogi i to było widoczne na każdym kroku. Na przykład, kiedyś, gdy wróciłem po pracy do domu, a mieszkalem wtedy już z Tata, gdyż wymagał stałej opieki, zapytał mnie:

- *Sławku, wiesz, co?*
- *Popatrzyłem na niego i mówię: wiem, Gosia była..*
- *A skąd wiesz?*
- *Przecież widać to po Tobie*

. Tak, to było widać. Tata był ożywiony, błysk radości w oczach i mówi:

- *..wiesz, ta Gośka, to fajna dziewczyna..*

W tym *fajna*, było zawarte wszystko, wszystko to, co może komuś dać ten, kto, jak mówi K.Grochala, jest tego pełen, a ona była pełna: tkliwości, dobra, ciepła i zrozumienia. Jeżeli Dziadek może być zakochany we wnuczce, to na pewno Stary Dziadek był zakochany w Małgosi. Kiedyś jesteśmy w poczekalni u kardiologa, i Tata tradycyjnie rozpoczyna dyskusję z czekającymi pacjentami:

- *pani też do kardiologa?*
- *tak, do pani doktor Zawadowicz*
- *a, to bardzo dobry doktor, bo to jest koleżanka mojej Wnuczki.,*

No i co? Czy, to może być zły doktor, jak jest koleżanką jego wnuczki?

Takie to były relacje Starego Dziadka z moją córką i takie były niedomagania mojej opieki pozbawionej niezbędnej czułości, o którą musiał się domagać, ale Tata nigdy nie narzekał, nie miał pretensji o nic. Żył swoim życiem interesując się oczywiście polityką, dziećmi, wnukami i prawnukami charakterystycznie nie używając nigdy zdrobnień ich imion, mówiąc prawie zawsze, nie tyle twardo, co dumnie: Piotr, Bartosz i Jakub, tylko Maciek był, nie wiem, z jakich powodów wyróżniany, i o nim zawsze mówił Maciuś, tak charakterystycznie zwijając usta w trąbkę. Może dla tego żeby odróżnić go od Macieja mazurskiego, bo tam były też jego prawnuki: Maciej i Marcin. O prawnuczkiach zawsze jednak mówił zdrobniale: Kasia, Dorotka i Zosia. Najmłodszych prawnuków nie doczekał, więc nie wiem jakby o nich mówił, ale przypuszczam, że byłby to Mateusz, Michał i Wojtuś, żeby odróżnić go od starych Wojtków i dać właściwy wydzźwięk najmłodszemu prawnukowi. W swoim czasie wnukom, a potem prawnukom rysował namiętne koniki, malował i wycinał je z tektury, a oni mało się nimi bawili i dziwili się, dla czego dziadek robi tylko koniki, a nie samochody. Nam, jak byliśmy mali rysował wszystkie zwierzaki i zawsze były bardzo dobre. No cóż zmiana pokoleń. Oni nie wiedzieli, że koń, to koń, a nie byleco.

Jeszcze za komuny, Tata namiętnie słuchał radia, oczywiście „Wolnej Europy” i BBC. Z głową wtuloną w starego pionierka³, wyszukiwał namiętnie zagłuszane stacje. Często jednak udawało mu się złapać wyraźnie nadającą stację, z której po pewnym czasie usłyszał: „tu gawarit Maskwa”, poczym zawsze następowała oczywista konkluzja: a żeby ich cholera wzięła. Poza polityką i zainteresowaniem prawnukami i wnukami prowadził życie towarzyskie, w którym brydż odgrywał czołową rolę. Powoli jednak niedołęźniał, ale dopiero ostatnie trzy miesiące musiał mieć stałą opiekę i nie wstawał. Śmierć przychodziła powoli, widać było, że jego dni są policzone. Włodek przyjechał na dwa dni przed śmiercią, tak, że byliśmy obydwaj, ale Tata umarł sam. Włodek nocował z Tata, a ja poszedłem do domu na noc. Rano jeszcze wpadłem do nich, by sprawdzić, co się dzieje i poszedłem do pracy. Gdy przyszła, jak co dzień, pielęgniarka, to Włodek poszedł do Inki na śniadanie, ale w parę minut po przyjściu, otrzymali telefon, że Tata umiera. Nim przyszli, Tata już nie żył, i choć byliśmy w Częstochowie obydwaj, Tata umierał sam, tylko w towarzystwie pielęgniarki. Umarł cicho i spokojnie, tak jak żył.

Niedostatki mojej opieki chciałem trochę zrównoważyć uroczystościami pogrzebowymi. Chciałem, by była to wielka uroczystość, na miarę jego skromnego, a jednak wielkiego życia, ale i to mi się nie udało. Chciałem, by to był pogrzeb z rytym wojskowym. Nawiązałem kontakt z drużyną harcerską w Blachowni, która nosiła imię 4-tego pułku ułanów i która zawsze brała udział w zjazdach pułkowych. Chciałem, by z lancami o barwach pułkowych i oczywiście z trębaczem wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych. Trębacz miał wytrąbić w kościele komendy, a nad grobem zagrać „śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie”. Harcerze chętnie wzięli udział w pogrzebie, z lancami przystrojonymi w proporczyki pułkowe, ale bez trębacza, gdyż był w tym czasie w seminarium duchownym i nie uzyskał zwolnienia. Wprawdzie dowódca drużyny powiadomił mnie o tym, ale ja nie podjąłem skutecznych kroków, żeby go zwolnić, albo zastąpić, kim innym. Trębacza, więc nie było, ale według opinii postronnych, pogrzeb był godny i dostojny. Msza była koncelebrowana pod przewodnictwem naszego kuzyna Janusza Popławskiego. Proboszcz naszej parafii wygłosił homilię na bazie moich informacji i własnych obserwacji życia „Starego Dziadka”, a Maciej Kwiatkowski wygłosił pożegnalne przemówienie w imieniu rodziny. Pożegnanie to podaję w całości:

³ Pionier to małe radio lampowe produkowane w latach 50 XXw (nie mylić z firmą Pionier)

„Żegnamy Tadeusza Ścibor-Bogusławskiego, ze starego rodu Ściborów herbu Ostoja, rodu, który uczciwą pracą, dobrą radą, a w potrzebie zbrojnym ramieniem, od wieków był ostoją tego kraju, solą jego ziemi, którą uprawiał i której bronił.

Cztery pokolenia rozgałęzionej na całą Polskę rodziny, liczne grono przyjaciół, których zyskiwał sobie od lat, żegnają seniora rodu Bogusławskich i pochodnych – dzielnego ułana, ostatniego uczestnika słynnej szarży 4-tego pułku ułanów Zaniemeńskich w wojnie polsko- bolszewickiej, obrońcę Warszawy z 1939r. w szeregach 1-ego pułku szwoleżerów im. Marszałka Piłsudskiego, jeńca oflagów w Woldenbergu i Murnau. Żegnamy zamilowanego, doświadczonego rolnika, którego nawet wygnanie przez komunistów z ojcowizny nie odstręczyło od tego pięknego zawodu. Gospodarował po wojnie w PGR-ach z równą troską i oddaniem, jak na swoim, a nawet, na dobrze zasłużonej emeryturze nie odszedł od zawodu przekazując studentom wiedzę nabytą w dobrej Cieszyńskiej Szkole Rolniczej i wieloletniej praktyce w rodzinnych Wilkowicach, a także administrując różnymi majątkami i PGR-ami.

Miał szczęście, że doczekał upadku komunizmu i odzyskania niepodległości – nie doczekał jednak odzyskania rodzinnych Wilkowic.

Z żalem żegnamy Ciebie, waleczny rotmistrzu Bogusławski, doświadczony inżynierze-rolniku, seniorze naszego rodu. Niech ta polska ziemia, którą uprawiałeś i której broniłeś, przyjmie i otuli Twoje ciało – a Pan nasz i Bóg nagrodzi Ciebie – dziedzica z Wilkowic Ziemi Łęczyckiej – dziedzictwem w niebie.

Spoczywaj w pokoju..

Maciej Józef Kwiatkowski

.Tym akcentem pożegnalnym kończę opowiadanie o „Starym Dziadku”, wyrażając nadzieję, że dobry Bóg dostrzeże to dobre, długie życie i wynagrodzi je w niebie, a pozostałe po Nim miejsce puste nie zarośnie trawą zapomnienia, ponieważ jest w nim trwale odcisnięty ślad Jego obecności wśród nas, obecności w naszej rodzinie, obecności w naszej myśli wczoraj, dziś i w latach, które przyjdą.

Sławek Bogusławski z autoryzacją Włodka z Ostródy.

